KRYSTYNA NIEDOPYTALSKA

ur. 1927; Puławy

Miejsce i czas wydarzeń	Puławy, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Puławy, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL, rodzina, ojciec, Józef Wójtowicz, matka, Maria Wójtowicz, dziadkowie, dziadek, Antoni Wójtowicz, praca ojca, statek Kraków, wyprawy do Warszawy, stosunki polsko-żydowskie, dom rodzinny, potrawy, bieda, warunki życia, życie codzienne, dzieciństwo, praca, Społem

Rodzina i dom rodzinny

Byłam Krystyna Wójtowicz [z domu], mieszkałam w Puławach na ulicy Kołłątaja 93. Urodziłam się 12 marca 1927 roku. Po wojnie zaczęłam pracować w Społem i pracowałam tam czterdzieści sześć lat – w jednej spółdzielni, wraz z zespołem. Pracowałam w sklepie spożywczym, ja chciałam objąć kierownictwo, więc musiałam się uczyć przez dwa lata. Tak że byłam kierowniczką, byłam w sklepach różnych, a przeważnie później byłam w spożywczym, bo to był ulubiony mój. Polubiłam to bardzo, a poszłam [do pracy] dlatego tylko – chodziłam do szkoły i musiałam zrezygnować – że mój tatuś umarł, jak żeśmy przyjechali z ewakuacji tej całej tragicznej. To był [19]44 rok albo [194]5, już nie pamiętam. I ja później musiałam już pracować, pomagać trochę mamie.

Tata się nazywa Józef Wójtowicz. Zmarł w [19]45 roku, jak miał pięćdziesiąt dwa lata. A moja mama była [z domu] Maria Szałas. Mama miała rodziców bardzo takich zamożnych, dziadzio był takim człowiekiem kultury wielkiej chyba, skoro zdążył sobie zrobić ten dom, co stoi tam dalej, do Wisły jak się idzie. Na Kołłątaja też mieszkał, on tu sobie kupił. Jak jest kościół na górce, vis-à-vis poczty, tylko tu, na rogu, jak się idzie na górkę, taki ogródek kiedyś był, a teraz drzewa stoją tylko, to tam dziadzio miał sklep z wędlinami. I dorobił się. Było pięcioro dzieci, to było pięć takich działek i dla wszystkich [dzieci] to ofiarował i [potem] był w lesie leśniczym. Chodzili różni ludzie i strzelali za zwierzętami i tak się stało tragicznie, że jego wzięli za [zwierzę], później dostał jakiejś choroby, bo to nie było tak, że było [jak] do lekarza pójść, lekarz [powiedział]: „A, trzeba sobie przyłożyć czymś". Po strzale w rękę później gdzieś w brzuch mu poleciało, no i dziadek zmarł. Właśnie to taka była sytuacja, młody człowiek, czterdzieści sześć lat. Dziadek umarł w styczniu, a babcia umarła w kwietniu. Miała [też] czterdzieści sześć lat. Moja mama była najstarsza, było [ich]

pięcioro dzieci i moja mama tym się wszystkim [zajmowała], rządziła, co mogła, to były już dzieci spore nawet, no ale trzeba było z nimi [być]. Wyszła za mąż za mojego tatusia, mój tatuś był dobrym człowiekiem, pozwolił, żeby te dzieci były [z nimi]. No i później wszyscy powychodzili [za mąż], pożenili się, pouczyli się, tak że towarzystwo było takie na poziomie, można powiedzieć.
[Drugi] dziadzio [nazywał się] Antoni Wójtowicz. Ja nawet bardzo dobrze nie pamiętam, wiem, że na Włostowicach pochowany był, ale co z nim było, to ja nie wiem, bo ja go nie widziałam, nie słyszałam [o nim] dużo razy, ale był bardzo dobrym człowiekiem i sobie przypomniałam teraz, że lubił robić takie różne garnki, nie garnki. Jego żona umarła, też ja nie wiedziałam o niej [wiele, miała na imię] Elżbieta. Na cmentarz chodzę [do nich], bo czuję, że tak trzeba.
Tatuś mój jeździł na statku, był kapitanem na statku. Jeździł do Warszawy, do Sandomierza, do Krakowa. To był statek żydowski, Kraków się nazywał. Mama w domu była, siostrę miałam i brata, troje nas było. Moja siostra się urodziła w [19]18. Jak była już jesień, to jechali do Warszawy i później przyjeżdżał tu na trzy-cztery miesiące. A ten Żyd, [właściciel statku], to był bardzo fajny, wspaniały Żyd. Tacie zawsze mówił: „Józiek, ty tylko umiesz wszystko zrobić, bo ty to wiesz jak i co”. Jechał co drugi dzień, jak tam dojechał, to tam ci Żydzi już się trzęśli i ci, co tu byli na tym statku, pozabierali, jabłka brali i wędliny, przeważnie brali cielęcinę. Ja to pamiętam wszystko, bo byłam kilkakrotnie, bo chciałam zobaczyć, jak to wszystko wygląda. To było na Mariensztacie. Na Mariensztat z tatusiem chodziłam, wszędzie tak mnie [zabierał], to był wspaniały człowiek. A jak jechał, to zawsze coś dobrego przywiózł, bo ten Żyd mu coś tam wpakował. Niektórzy byli tacy, że nie chciało im się jechać, przyjechali pięć godzin później i Żydzi później wywalali z pracy, bo to nie tylko jeden był ten statek, później jeszcze jeden. A ten Kraków taki był wspaniały, ten stateczek i ten Żyd, i w ogóle ludzie. Tatuś miał swoich chyba ze sześciu kolegów, jeden musiał być w maszynie, jeden wysoko, tam przy tym, co się kręci – jak na statku. [Ojciec] był kapitanem, a później już przestał, nie był, dlatego że nosił coś tam, chciał coś podać i nogę miał bardzo zgniecioną, był chyba z pół roku w domu, ale mu ten Żyd mimo wszystko płacił. Taki spokojny [był ten Żyd], nie denerwował się. Na spokojnie: „Nie martw się nic, nic się nie martw”, bo ja jechałam nieraz z tatusiem, spałam w takiej kabinie u tatusia, a tata całą noc musiał jechać, bo to odpowiadał za to, prawda. I on był bardzo taki wyrozumiały, zawsze a to mi przyniósł to, a to tamto. A tatę [pytał]: „Józiek, a może chcesz pić, zanieście mu”, bo on przeważnie był na górze. Różni byli Żydzi, było ich tu bardzo dużo w Puławach, ale ten był naprawdę taki swój człowiek. Dlatego go wszyscy lubili, później go tata podwiózł łodzią [podczas wojny], strach było jechać, ze szwagrem, młody człowiek. No, ale tak go prosił: „Weź mnie, bo tu nie mam teraz nikogo, wszyscy się porozchodzili”. On się bał, że tu łapanki, to, śmo, owo. Tak się tatuś bał, a po drugiej stronie Wisły już byli ci chłopi, co on tam brał od nich wszystko na te statki różne, [przykryli go] słomą i tam tamtego Żyda przemycili. No on tam później był. Mąż mojej cioci też później był

kapitanem i przyszła do nas, bo dostała od tego właśnie Żyda jakieś [zawiadomienie], nie wiem, kto jej przywiózł, i mówi tak: „Jedziemy do Lublina. Nic wam nie mówię, jedziemy do Lublina”. I ja pojechałam z mamą, bo siostra miała małe dziecko. No i on tam był, ubrany inaczej w ogóle, już nie ten sam. I właśnie dał nam [pieniądze], nie pamiętam ile. I jak się dowiedział, że tata mój nie żyje, mówił: „Boże kochany, jak mu dziękuję, że on mnie podwiózł wtedy, bo by mnie [wykończyli] tu”.
Tata, jak jeździł do Warszawy, to zabierał siostrę i w Warszawie jakieś fajne rzeczy [kupował], wszystko to już tu przywoził, na przykład obuwie. Tak samo dla mnie, tak samo dla brata. Tu to raczej nie [kupowaliśmy]. A jak nie [przywoził], to mieliśmy takiego krawca fajnego swojego, [to] wujek był, tam dalej mieszkał, jeszcze stąd spory kawałek. I tam do niego nosili wszyscy, rodzina cała i inni ludzie. Tam Wólka [Profecka] dalej była, on sobie tam zarabiał.
Bardzo lubiłyśmy wszystkie potrawy [mamy], bo bardzo dobrze gotowała. Bardzo lubiłyśmy racuszki, takie, siakie, różne racuchy. Lubiłyśmy chleb, jak upiekła w piecu, był piec w kuchni taki duży. Albo z buraków cukrowych [coś robiła], nieraz wieźli z Wólki, to mama mówi: „Dajcie te buraki”, bo słodycz taka dobra, dobre robiła nam te buraczki. No, wszystko umiała zrobić. Gotowała dużo, dużo piekła, jakie ciasta wypiekała to naprawdę. Zawsze dziesięć kilo mąki, pytam się: „Mamo, na co?”, „A to ktoś przyjdzie, to się da”, mówiła zawsze. Mama dużo wszystkiego robiła, bo zawsze wszystkich poczęstowała. Miałyśmy taką mamy koleżankę, to jak chciałyśmy jakieś żydowskie potrawy, to mama wołała: „Walerciu, zrób nam rybki”. Gotowała te rybki, ona sobie robiła i przy okazji zawsze mamusia mówiła: „No, jak będziesz robiła, to i tutaj mi podrzuć”. Ona mówi: „Dobrze, dobrze, nie martw się”.
Ludzie byli tu biedni, wszyscy chodzili do lasu, moja mama mówiła: „Chodźcie dzieci, pójdziemy”, jak byłyśmy starsze, nazbierałyśmy takich różnych i niosłyśmy, ile kto mógł, a to szyszki, a to to. I to wszyscy tak robili, później to było na zimę, przecież tam palenia trzeba było tyle, prawda? I tak jakoś się żyło, tatuś już wtedy był w domu, to ściągał drzewo, miał takie duże sanki i tymi sankami woził. To jak poszli we dwóch, to jeden i drugi mieli co palić, o tak było. Było nas troje, to też trzeba było nas wykarmić, trzeba było nas ubrać w coś. Moja mama taka była, że wolała nie jeść, byle by ubrać dzieci, żeby dzieci wyglądały. Na zimę to tatuś był te cztery miesiące, to już było co jeść. Teraz się nie je słoniny, kiedyś się słoninkę taką jadło.
Moja mama to była bardzo taka prosta kobieta, ale była wspaniała, naprawdę, ja zawsze mówię do moich dzieci, że to był okaz chyba, przecież tata zmarł, mama miała czterdzieści osiem lat i z nami [została]. Wszystko aby w porządku było, aby spokój, aby się tam gdzieś nie wywłóczyć.

Data i miejsce nagrania	2003-11-05, Puławy
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"